

Stefan Turaki.

# Waleczne czyny pana Jacentego.

(Przedruk zastrzega się.)

Straż honorowa! Straż, broniąca pułkowego sztandaru!

Najpospolitszy zjadacz chleba powszedniego, pan Jacenty, który z wojskiem nigdy nie wspólnego nie miał, który nawet przy tak szczegółowych, jak w obecnej wojnie, przeglądach okazał się „niezdolnym” do tego wielce urozmaiconego rzemiosła wyprawiania bliźnich na drugi świat — nawet więc pocziwy „Jacus”, wieczny cywil, wiedział, co to za zaszczytny posterunek „Obrona sztandaru”!

Widział ją nieraz nasz Jacus na „landszaftach” w kalendarzach. Czytał też nieraz, jak to nasze Bartki broniły sztandaru i... żał mu się robiło, iż nie może dostąpić tego zaszczytu, aby i o nim i jego bohaterskich czynach ktoś, choć w ostatnim zakątku kalendarza, co napisał.

Bo czyż może być piękniejszy czyn nad obronę sztandaru?!

Żołnierze z bagnietem w rękę, z dzikiem spojrzeniem, utkwionem w nieprzyjaciela, idą, na czele z komendantami — do ataku. Muzyka gra ochotczo. W środku dowództwo pułku, a za nimi sztandar pułkowy w otoczeniu straży.

Chorągwi dzierży silnie w rękę drzewiec od poroża. Sztandar powiewa dumnie nad ich głowami. Przysięgli bronić chorągwi aż do ostatniego żołnierza.

Armie, stojące naprzeciw siebie, ruszyły w bój! Szczęk broni, huk strzałów armatnich i karabinowych, gromkie okrzyki atakujących, jęki rannych, wszystko to wytworzyło piekielną wrzawę. Nasi prą naprzód do zwycięstwa, walcząc pierś w pierś, wgniatając nadludzką mocą nieprzyjaciela w tył. Komenda pułku upaja się zwycięstwem, sztandar dumnie powiewa...

Wtem mur z piersi żołnierzy zachwiał się, stanął. Ostatnim wysiłkiem uderzono jeszcze raz. Nieprzyjacielowi przybywają posiłki, uderzają całą siłą na naszych. Nasi, nie mogąc wytrzymać siły uderzenia, cofają się... wszystko przepadło. Nieprzyjacieli druzgocze na prawo i na lewo, nasi pierzchają. Starszyzna, skupiona około sztandaru, nawołuje wyłaknionych żołnierzy do walki, wskazując im ten widomy znak ich bohaterstwa.

Zginać do ostatniego, lecz nie uciekać z pod chorągwi!

Żołnierze, zawstyżeni, grupują się i uderzają jeszcze raz na nacierającego nieprzyjaciela.

Zwrzasa szalona bitwa. Każdy żołnierz walczy jak lew. Przełamano front. Nieprzyjacieli cofa się. Nasi z bagnietem w rękę wpadają w sam środek wojsk nieprzyjacielskich, uciekających w popłochu.

Zwycięstwo! Zwycięstwo!

Muzyka gra, sztandar powiewa dumnie. Złota kroczy garść walecznych, niosąc z tryumfem zdobytą chorągiew nieprzyjacielską.

Czyż to nie piękny czyn?

Pan Jacenty nieraz czytał o tem, to też po każdej kłótni ze swoją połowicą mawiał sam do siebie:

— Wolalbym walczyć z całą hordą Tatarów, niż z tą jędzą.

Lecz cóż, kiedy nawet teraz w czasie wojny, przy wszystkich przeglądach uznano go za „niezdolnego”!

Pani Jacentowa miała nową sposobność, aby do kuczać swemu mężowi.

— Widzisz, niedołęgo, nawet do wojska jesteś niezdolny i potem się dziwią ludzie, że jestem z ciebie niezadowolona.

Uginał się więc biedak pod brzemiennym ciężarem wymówek swojej Ksantypy, lecz w duchu przyznawał jej słuszność. Największych niedołęgów biorą, a jego nie!

Marzył więc pan Jacenty dniami i nocą, ażeby, choć „na złość” jego babie, przy nadchodzącym przeglądzie uznano go za „zdolnego”.

Wkrótce spełniło się marzenie biedaka.

Przy ostatnim przeglądzie, został wreszcie żołnierzem.

Dumny wrócił do domu. Zdawało mu się, że odmłodniał! Nawet pani Jacentowa dostrzegła w swej „tyranizowanej” połowie dużo ukrytych zalet.

Pożycie małżeńskie państwa Jacentostwa, od tego historycznego dla nich dnia, było wcale znośnem.

Żał nieraz było czulej pani Jacentowej małżonka, iż na stare lata pójdzie na poniewierkę.

Lecz Jacenty odpowiadał dumnie:

— Nie lękaj się, zobaczysz, co twój Jacus potrafi.

W nocy marzył biedak o swoich walecznych czynach, o odznaczeniach.

Snuło mu się nieraz, iż wjeżdża w mury miasteczka w stroju generalskim. Brama tryumfalna postawiona. W kościele biją wszystkie dzwony. Lud ciśnie się, aby choć strzemią u jego nogi ucałować. A on dumnie spogląda z konia na proboszcza, na burmistrza i całą deputację, która chlebem i solą go przyjmuje.

Mieszkańcy, w kabłąk pozginani, nie śmia spojrzeć na jego dostoje oblicze.

A ona, jego żona, pani Jacentowa, na kolana padła przed nim i jego koniem i błaga go, by jej nie opuszczał.

Kręcił więc węża pan Jacenty, rad, że się od baby na jakiś czas uwolni.

Nadszedł nareszcie dzień, w którym pożegnał się czule ze swoją połowicą i odjechał do wojska.

Po kilku tygodniach, gdy miał odejść w pole, otrzymał urlop, żeby się pożegnać z rodziną.

Przyjechał więc nasz Jacenty do domu w wojskowym mundurze, budząc zachwyt nawet w szanownej swojej połowicy.

Wąs w górę zakręcony, włosy, krótko przystryżone, zda się, że o połowę odmłodniał nasz Jacenty.

Przy odjeździe, pół miasteczka odprowadziło go do stacyi kolejowej. Jacentowa spłakała się, zemdlala nawet, ledwo ją organista docucił.

Pociąg ruszył, a Jacenty, oparty o okno wagonu, powiewał chusteczką.

— Piszcie zaraz, dajcie co znać o sobie! — wołano za odjeżdżającym.

— Krzepki jeszcze chłop z Jacentego. — zauważył kościelny.

— Co mi z jego krzepkości — mówiła, szlochając, Jacentowa — zobaczcie, że on z tej wojny nie wróci. Znam ja go dobrze. Zacięta to sztuka!

— Aleście mu zawsze poradzili! — rzekł organista.

— Ej, moiściewy, przy końcu, jak go wzięli do wojska, to zawsze jego musiało być na wierzchu. Jakby dyabeł w niego wlał!

Po powrocie ze stacyi, zaprosiła Jacentowa sąsiadów na kieliszek do domu. Długo w noc chwailono zalety Jacentego, którego tymczasem pociąg unosił na wojnę.

Jacenty wiedział, że, choć będzie na froncie, choć użyje dość niewygód, walczyć i tak nie będzie, gdyż ludzi w jego wieku do linii już nie przeznaczają.

Nie mówił o tem jednak swojej Ksantypie.

— Niech się trochę pomartwi — myślał sobie — będzie miała większy szacunek dla mnie, jeżeli będzie przekonana, że walczę na froncie. Nieraz nawet naprawdę marzył o walecznych czynach, o odznaczeniach, ażeby zaimponować swojej połowicy i tej hołocie z miasteczka.

— Co będzie, to będzie! — mówił sam do siebie — Czy będę walczył, czy nie będę... w listach i tak mogę wypisywać, co mi się podoba. Niech wie hołota, co „Jacenty” potrafi.

Po przybyciu w pole do pułku, podzielono cały transport na rozmaite oddziały robocze. Pan Jacenty z dobranymi jeszcze dziesięcioma postawnymi chłopami, ku swojemu wielkiemu zadowoleniu, został przydzielony do... „sztabu” do „Fahnenwachy”, czyli do straży honorowej przy pułkowej chorągwi.

Inni żołnierze spoglądali zazdrosnym okiem na tych dziesięciu wybrańców losu.

— Straż chorągwi pułkowej! Nie każdy może dostąpić tego zaszczytu — mówił pan Jacenty.

Zaraz wieczorem rozpiął listy do wszystkich w miasteczku. Przypominał sobie adresy ludzi z sąsiednich miejscowości, z którymi nigdy w życiu nie wymienił ani jednego słowa pisanego i wszystkim dumnie donosił o swoim zaszczytnym przydzieleniu.

Pani Jacentowa, ubrana odświętnie, biegła z listem od domu do domu, dumna ze swego męża, który widocznie nie musi być takim niedorajdą, za jakiego go miała.

Wkrótce całe miasteczko wiedziało o zaszczytnem na froncie stanowisku Jacusia — i oczekiwało na jego waleczne czyny.

Żona — w listach pisanych do niego — doradzała mu zatrwożona, co ma czynić, by sztandar był cały, a jemu, żeby się też nic złego nie stało.

Zaklinała go, by jej doniósł, ilu jest Moskali. Jeżeli więcej, jak naszych, to żeby ich nie zaczepiał i o byle co nie rozpoczynał awantury, a „w razie czego”, to bierz sztandar i uciekaj!

Z żoną burmistrza uradziły, by Jacusiowi na-

dano z okazji jego zaszczytnej służby „obywatelstwo honorowe”.

— Przecież Jacus honor miasta ratuje! — mawiała z patosem — Pomyślcie „straż chorągwi pułkowej”, „sztab”, „obrona sztandaru”! Zobaczycie, czego Jacus tam nie dokaze! Ja go znam! Jak wpadnie w złość, to, oprócz mnie, nikt mu nie da rady! Już przeszło dwadzieścia lat żyjemy ze sobą, zawsze mi ulegał, a jak wdział mundur, to taki był zacięty, że zawsze jego było na wierzchu.

Przy każdej sposobności wymyślała sąsiadom:

— Wy tu spokojnie siedzicie za piecem, a mój Jacus może w tej chwili życie kładzie w obronę sztandaru!...

Lecz czasy wojen romantycznych, kiedy to z rozwiniętymi sztandarami szliśmy do ataku, minęły bezpowrotnie.

Dziś, w obliczu dział szybkostrzelnych, karabinów maszynowych, miotaczy min, ręcznych granatów i innych maszyn piekielnych, które człowiek genialnym swoim rozumem wynalazł dla zniszczenia samego siebie, dziś nie idą żołnierze z muzyką i rozwiniętymi sztandarami do boju.

Pełzają po ziemi, jak płazy, by niespodziewanie podejść nieprzyjaciela, poprzecinać kolczaste zaskieki, zniszczyć jego środki obronne, a potem dopiero uderzyć. Chorągwi pułkowej nawet niema na froncie. Ten wielce szacowny klejnot pułku spoczywa w spokoju w głębi kraju, w batalionie uzupełniającym lub arsenale. Tu jest on niepotrzebny.

Przy uruchomieniu milionowych armii na front dowozi się tylko to, co może przyczynić się do uzbrojenia lub wyżywienia ludzi i zwierząt.

A sztandar?... Wprawdzie piękna to rzecz, ale niepraktyczna.

Co innego w czasie błęgiego pokoju, podczas przeglądu wojsk. Lecz w czasie tej największej, a tak mało poetycznej wojny może on jeszcze oddać pewne usługi w batalionie uzupełniającym, przy pożegnaniu odchodzących formacji bojowych w pole. Na froncie jednakowoż byłby tylko ciężarem.

Tradycyjnym jednak zwyczajem, mimo, iż sztandaru tu niema, jest „Fahnenwacha”, czyli „straż chorągwi”... bez chorągwi! Do tej to straży pocziwy pan Jacenty został z dziesięcioma innymi przydzielony.

Otóż ta, jak ogólnie nazywano, „żelazna brygada”, złożona z kaprała, starszego żołnierza i dziesięciu szeregowców, zasługiwała na szacunek. Nie z powodu swej waleczności, uchowaj Boże, lecz z powodu swego poważnego wieku. — Otóż, tych dwunastu apostołów, czyli obrońców sztandaru... bez sztandaru, miało razem sześćset dwadzieścia pięć lat. Ładny wiek! Łatwo więc obliczyć, ile każdy poszczególny człowiek żelaznej brygady liczył wiosen, jeżeli odciągniemy najmniejszy wiek starszego żołnierza, czterdzieści dwa, a pozostałą cyfrę, pięćset ośmdziesiąt trzy, podzielimy przez jedenaście.

Otóż, ta „żelazna brygada” pełniła nie tyle zaszczytne, ile dość uciążliwe funkcje. Wprawdzie w nocy, przez godzin dziesięć pełnili służbę honorową z karabinem w rękę, na posterunku koło komendy pułku, lecz w dzień?... W dzień spełniali rozmaite funkcje!

Odmiatali śnieg, sprząтали w kancelaryach, w miejscach zacisznych, przystępnych dla każdego, robili porządek. Drzewa z lasu nazwozić, porządkować, narażać, w piecach palić, to było ich całodzienne zatrudnienie, wyjąwszy pana Jacentego, który dostąpił tego zaszczytu, iż powierzono jego władzy i opiece dwie... świny pana kapitana, które pan Jacenty karmił i hodował na pożytek armii.

Zaraz pierwszego dnia miał Jacus straszną pracę, gdyż jedna świnka uciekła mu w las i biedak, z pomocą dodanych czterech z „brygady”, ledwie około północy niesforą „dezerterkę” złapał.

Zagrożono mu, że gdy jeszcze raz coś podobnego się zdarzy, zostanie zamknięty.

Naturalnie, po tym świńskim wypadku, Jacus pisał do żony:

„Wczoraj byłem na nocnej patroli. Ogromnie odpowiedzialna wyprawa... Z pomocą czterech żołnierzy ubezwładniłem nieprzyjaciela w pobliskim lesie i przywiódłem jeńców!”

Pisząc to, myślał sobie w duchu:

— Niech piorun trzaśnie taką straż honorową! Na stare lata człowiek świnię pasie!

„Jeżeli jeszcze raz będę na podobnej patroli, podany zostanę do nagrody!”

Pisząc te słowa drżał:

— Boże, żeby mi tylko znowu która świnka nie uciekła! Miałbym nagrodę, kilka dni kozy!

Otrzymałszy ten list, żona pocziwego „Jacu-